Rok I. Nr. 6.



DODATEK MIESIĘCZNY DO „DZWONU NIEDZIELNEGO“ Nr. 39.

OD REDAKCJI.

Z powodów od Redaktorki niezależnych dzisiejszy dodatek wydajemy z dwutygodniowem opóźnieniem.

Modlitwa i praca.

Wiemy wszyscy doskonale, że stworzeni jesteśmy przez Boga do chwalenia Go i służenia Mu, t. j. do modlitwy i pracy. Niczego więcej Bóg od nas nie żąda; tak mało — a zarazem tak dużo. — „Modlić się — wszak ja na to nie mam czasu“, powie niejedna matka lub gospodyni, a pracować — „przecie nic innego cały dzień nie robię i odrobić się nie mogę“.

Takie zdania słyszy się z tysięcy ust. Ale czy te gospodynie i matki mają słuszność? Niezawsze! Bo modlitwa, to nie tylko ten pacierz ranny i wieczorny, zmawiany na klęcząco, lub niedzielna Msza św. w kościele wysłuchana — ale modlitwą nazwać można każde wzniesienie myśli do Boga, każde najkrótsze westchnienie, na które ani czasu specjalnego ani miejsca nie potrzeba. O takiej modlitwie powiedziane jest, że trzeba „zawżdy się modlić, a nie ustawać”.

Jeżeli kto, to właśnie matka każda musi dużo, bardzo dużo się modlić. Musi ona „rozmawiać” w duszy z P. Jezu-

sem o swych dzieciach, prosić o światło, o cierpliwość, o umiejętność wychowania dziatek. A czynić to może przy zwykłych swych codziennych zajęciach. Dając im rano śniadanie — prosić Boga w duszy, by i swemi łaskami ich dusze nakarmić raczył; wyprawiając do szkoły lub zajęcia — polecić ich opiece M. Najświętszej lub ich Patronów. Innym znów razem słysząc sprzeczki dziecinne, które każdej matce tyle przykrości sprawiają, ofiarować tę przykrość na uproszenie dla nich łaski cichości i cierpliwości i t. p. Na taką modlitwę znajdzie każda matka czas — byle tylko chciała.

Znałam matkę, która mając malutkie dziecko w domu, nie mogła często rano chodzić do kościoła, chociaż to bardzo lubiła. Ażeby więc mimo to nie ostygać w miłości Bożej, starała się każdego ranka, karmiąc swe maleństwo własną piersią, przyjmować Komunję duchowną. „Dobry mój Jezu, mówiła, Ty widzisz, że obowiązki matki nie pozwalają mi pójść do kościoła i przyjąć Cię sakramentalnie, sprawże więc, ażebyś wtedy, kiedy dziecko swem mlekiem żywię, Ty, o mój Boże, nakarmił duszę moją Twą łaską najświętszą“.

Jeżeli chodzi o pracę, to nie można nie przyznać, że każda matka i gospodyni, która chce swój obowiązek spełnić, ma zajęcia poddostatkiem od rana do późnej nocy.

Ale są różne sposoby pracy. Można pracując — grzeszyć, lub też zbierać zasługi.

Pan Jezus żąda od nas takiej pracy, któraby była Bogu miła i miała wartość dla nieba. A jakaż to praca, spyta może kto? Zwykła, najzwyklejsza, codzienna, szara, żmudna. Chodzi tylko o sposób pracy i o intencję. Jeżeli bowiem te codzienne obowiązki nasze spełniać będziemy ze spokojem, sumiennie, dokładnie i w swoim, na to przeznaczonym, czasie — to niebo sobie otworzyć będziemy mogły, choćbyśmy całe życie nic innego nie robiły. Jeżeli natomiast przy każdem zajęciu narzekać zaczniemy na nasz los, zazdrościć innym swobody, bezczynności — to Bóg nie przyjmie naszych trudów.

Praca chętna z myślą o tem, że spełniamy rozkaz Boga samego, że to jest pokuta za nasze grzechy, których mamy bez liku, może stać sią miłą i pociągającą.

Nie wolno się też gorączkować i przejmować tem, że skończyć czegoś nie możemy. Wszak Bóg to widzi, więc jeżeli czasu nie tracimy, a przechodzimy sumiennie z jednego zajęcia do drugiego, to bądźmy spokojne — praca nasza będzie przez Boga przyjętą.

Nie sądźmy też fałszywie, że my właśnie mamy za wiele pracy, podówczas kiedy ta lub inna sąsiadka ma jej mniej.

Nie do nas należy sąd, ale do Boga; i Pan Bóg nie będzie się nas po śmierci pytał, czy ta lub inna kobieta spełniała swe obowiązki. Za siebie jedynie odpowiemy, a bądźmy przekonane, że Bóg nigdy nad siły od człowieka nie wymaga i żąda tyle pracy, ile człowiek dać może. Ufajmy Bogu, ufajmy że On nas nie skrzywdzi, że widzi pracę i trud każdego z nas i wszystko nam wynagrodzi w wieczności. Tylko pracujmy ochoczo i módlmy się!

Polskie Zakonne Zgromadzenia Żeńskie.

Zgromadzenie SS. Felicjanek.

Z polskich Zgromadzeń żeńskich najliczniejszy dziś w Polsce jest Zakon SS. Felicjanek.

Niestrudzone córki św. O. Franciszka zajmują się bez wytchnienia biedną, ubogą dziatwą lub niedołężnymi starcami.

Założycielką czyli fundatorką tego tak pożytecznego Zgromadzenia była Zofja Truszkowska, świątobliwa panna, należąca do Stowarzyszenia Pań św. Wincentego à Paulo w Warszawie. Jako taka zajmowała się gorliwie ubogiemi sierotami i staruszkami bezdomnemi. Z własnych funduszów wynajęła małe mieszkanko dla swoich biednych i poświęcała im cały swój wolny czas. W niedługim czasie przyłączyła się do Zofji jej cioteczna siostra i wspólnie zajmowały się biednemi. Ale ilość tych nieszczęśliwych wzrastała, tak że małe mieszkanie nie mogło pomieścić wszystkich szukających w nim przytułku. Trzeba było pomyśleć o nowem. Przeniesiono się więc do domu OO. Dominikanów. Poświęcenie tego nowego przytułku dnia 11. XI. 1855 r. uważa się obecnie za dzień zawiązku Zgromadzenia.

Zaraz po osiedleniu się p. Truszkowskiej z kuzynką, przyłączyła się do nich trzecia osoba oddana Bogu, niejaka p. Rhebinder, potajemnie nawrócona ze schizmy.

Trzy te panie wyraziły prowincjałowi OO. Kapucynów, ks. Benjaminowi Szymańskiemu, chęć zawiązania Zgromadzenia pod trzecią Regułą św. Franciszka. Po dokładnem zastanowieniu się przychylił się O. Prowincjał do prośby pierwszych Matek i uzyskał dla nich pozwolenie ówczesnego rządu rosyjskiego, oraz ks. Arcybiskupa.

Tak więc powstało Zgromadzenie oparte na bezgranicznej i pełnej poświęcenia miłości bliźniego.

Sława pobożnych niewiast rozeszła się prędko po mieście i okolicy, tak że ilość kandydatek do zakonu wzrastała szybko.

W małym domku odbywały się ćwiczenia duchowne i modlitwy naszych sióstr, a wolny czas obracano na spełnianie obowiązków przy dzieciach i starcach. O. Honorat, Kapucyn, naznaczony na O. Duchownego, oświecał Siostry, pouczał i zagrzewał do coraz większej miłości Boga i bliźniego.

W kwietniu 1857 r. dokonał on pierwszych obłóczyn dziesięciu Sióstr. Strój ich zakonny ówczesny składał się z habitu ze szarego sukna, takiegoż szkaplerza i długiego płaszcza. Habit był przepasany grubym powrozem, którym Siostry idąc do spowiedzi okręcały sobie szyję na znak pokuty. Welon miały czarny a pod nim białe nakrycie głowy z przepaską białą na czole. Na szyi wisiał drewniany krzyżyk z P. Jezusem, na brunatnej tasiemce.

Wkrótce po obłóczynach okazało się pierwsze mieszkanie za ciasne. Ale skąd było wziąć pieniędzy na większe, jeżeli i za to nie miały Siostry z czego czynszu zapłacić i lada dzień groziło im pozostanie bez dachu nad głową. Opatrzność czuwała nad niemi i oto kilka dni przed ostatnim terminem znaleźli się bardzo bogaci i dobrzy ludzie, którzy kupili za 100.000 rubli śliczny pałac,*) który oddali Siostrom do dyspozycji, pozwalając przerobić go według własnych potrzeb.

W dniu przeprowadzki tłumy ludu wyległy na ulice Warszawy przyglądając się tej niezwykłej procesji: szły Zakonnice, szły sierotki, szli staruszkowie, a między publicznością szeptano: „to są te Felicjanki, te nowe Zakonnice, co to uczą dzieci i pielęgnują starców“. I oto poraz pierwszy „nazwano” Siostry; przydano im imię św. Feliksa, ponieważ widywano je w kościele modlące się ze swemi dziatkami przed obrazem tego świętego, Patrona dzieci.

Same Siostry nie wymyśliły dotąd nazwy dla swego Zakonu; słysząc więc z ust tłumu nazwę „Felicjanek“, przyswoiły ją sobie chętnie, widząc w tem zrządzenie Boże.

Życie nowych Siostrzyczek płynęło często w biedzie i niedostatku, gdyż utrzymywały się przeważnie z jałmużny. Ale to umartwienie dopomagało tylko do wyrobienia wewnętrznego. Mimo ciężkiej całodziennej pracy, spędzały one nieraz noce całe na adoracji Przenajśw. Sakramentu, i to było ich największą nagrodą za trudy. Skromne życie obostrzone było częstemi postami. Trzy razy do roku odbywały Siostry 40-sto dniowe posty, prócz tego wolno im było spożywać mięso jedynie we wtorki, czwartki i niedziele. Szereg dni w roku spędzały bez nabiału, a nieraz nawet o chlebie i wodzie.

---

*) Byłą bibljotekę Załuskich w Warszawie.

Mimo tych ostrości, różnych upokorzeń, publicznych pokut za lekkie uchybienia regule — ilość aspirantek wciąż wzrastała. Widać w tem było najwymowniej, że nowe Zgromadzenie miłe jest Bogu, skoro tyle dusz do służby swojej w tym zakonie powoływał.

Na razie miały Felicjanki tylko jeden chór. Z czasem jednak powstały dwa. Do pierwszego należały te Siostry, które z woli Bożej i za zgodą przełożonych poświęcały całe swe życie wyłącznie bogomyślności i modlitwie i raz zamknięte nigdy z klauzury na świat nie wyszły — drugi zaś chór działał na zewnątrz, poświęcając modlitwom zakonnym, rozmyślaniom i innym ćwiczeniom tyle tylko czasu, ile to było koniecznie potrzebne. Siostry drugochórowe wzywane były we wszystkie strony ówczesnego królestwa polskiego; zakładano przy dworach i miasteczkach ochronki i przytułki i wszędzie kierownictwo oddawano Felicjankom. A Sióstr do objęcia nowych placówek nigdy nie brakło. Bóg w cudowny sposób mnożył powołania. *D. c. n.*

Co piszą w Ameryce o dzieciach.

Ciąg dalszy.

Nie mamy dokładnej statystyki, ale według prawdopodobnych obliczeń na 600 tysięcy dzieci polskich w wieku szkolnym, połowa uczęszcza do szkół parafjalnych, druga zaś połowa marnuje się jeszcze w szkołach publicznych i ginie częstokroć nie tylko dla narodowości, ale i dla wiary.

Przy tej sposobności pozwolę sobie na małą uwagę, aby ci, którzy zwracają się z Europy do Polonji amerykańskiej z prośbą o pomoc, pamiętali, że ona ma tu na miejscu olbrzymie potrzeby, które musi corychlej zaspokoić, jeżeli nie chce utonąć w obcem morzu, przybywający zaś tu z pomocą różni „budziciele ducha“ niech się zawczasu przygotują nie na rozsiewanie pustych frazesów i zbieranie pełnych worków z dolarami, lecz na rzetelną pracę w pocie czoła nad umocnieniem podstaw naszego bytu w Ameryce, jakiemi są Kościół, rodzina i szkoła parafjalna.

Zrobiłem małe odchylenie od tematu, wspominając o szkole. Chciałem wskazać jak szerokiem i jak trudnem jest w Ameryce zagadnienie wychowania dziecka.

Wracam do tego, co mię najżywiej obchodzi — dziecko w rodzinie. Mam pełne uszy skarg rodzicielskich. Przedostają się one na łamy prasy codziennej i perjodycznej. Stają się

nieraz dokuczliwe, nieznośne. Jeden z sędziów amerykańskich, rozpatrujący przestępstwa nieletnich, dał taką odpowiedź: „Czego wy chcecie od dzieci i młodzieży? Młodzież jest zawsze młodzieżą; dzisiejsza nie jest gorszą od tamtej z przed tysiąca lat. Jeżeli jest źle, to winno temu wychowanie w rodzinie.“ Podpisuję się obydwiema rękami pod tem zdaniem. Nie znam dzieci obcych narodowości, ale o polskich mogę powiedzieć z całem przekonaniem, że mi się bardzo podobają. Swobodne, wesołe, szczere, prędkie i ochocze do wszystkiego, przedstawiają wyborny materjał, tylko trzeba rozumnej i ciepłej ręki, któraby z tego miękkiego wosku ukształtowała silne i piękne postacie.

Wpływ naszych Sióstr zakonnych w szkole jest niezmiernie dobroczynny, dzieci zmieniają się w paru latach pod ich ręką do niepoznania. Przychodzą do pierwszej spowiedzi z ciężkiemi nałogami, zaciągniętemi w domu, a po roku lub dwóch zupełnie ich się wyzbywają, stają się miłe, wesołe, uprzejme, a do Sióstr i księży garną się z taką dziecięcą swobodą i ufnością, jak do własnych rodziców.

Idę raz ulicą, na chodniku gromadka dzieci bawi się i rozmawia. Szedłem prędko i wyminąłem je bokiem, zanim się spostrzegły. Po chwili słyszę za sobą tupot dziecięcych nóżek. Zatrzymuję się dopędzają mię zdyszane. „Przepraszamy Was, żeśmy z drogi nie ustąpiły“. Uśmiechnęły się, pożegnały i pobiegły w swoją stronę. Nigdzie w kraju czegoś podobnego nie spotkałem.

Materjał jest doskonały, tylko nieumiejętne wychowanie go psuje i to wychowanie rodzinne. Nie mówię o rodzinach protestanckich lub zgoła niewierzących, lecz o katolickich i polskich. Nawet do nich wciska się powoli duch pogański i nie małe poczynił wyłomy.

Gdziekolwiek do rodziny wdarła się zbrodnia ograniczania potomstwa, tam wychowanie dzieci zwichnięte w samej podstawie. Rodzicom braknie wówczas pewnego zmysłu do rozumnego i chrześcijańskiego wychowania dziatek, bo przez grzech, który przyjęli do programu swego życia, utracili łaskę Sakramentalną i zmysł rodzicielski w sobie zabili. Dziecko uważają nie za Boży depozyt, który muszą kiedyś Bogu zwrócić, lecz za swoją własność, którą zdobyli dla zabawy i rozrywki. Z takiego dziecka nie wyrośnie człowiek, który przyniesie chwałę Bogu i Ojczyźnie, a pociechę swoim rodzicom. Bez Chrystusa nie wychowa się chrześcijanina, a niema Chrystusa w rodzinie, która świadomie i dobrowolnie żyje w grzechu programowym i depce prawa natury i Wolę Stwórcy.

Drugą przyczyną złego wychowania dzieci w rodzinie są

złe warunki ekonomiczne, które zmuszają ojca i matkę pracować poza domem, a dzieci pozbawiają dozoru i opieki.

Ile stąd wynika zgorszeń, to trudno wypowiedzieć. Maleństwa nie rozwinięte padają często ich ofiarą. Starsze urządzają sobie schadzki, o których rzecz prosta rodzice nic nie wiedzą i nawet się nie domyślają. Są między niemi stręczyciele i stręczycielki, które prowadzą całe jakby przedsiębiorstwa i kluby, płatne lub bezpłatne.

Szkoła i spowiedź oczyszcza to później, albo tylko powstrzymuje na pewien okres, po którym zło wszczepione w latach dziecięcych wybucha z nową i gwałtowniejszą jeszcze siłą. To jedna z przyczyn, dlaczego matki nie chcą później mieć dzieci: bo nie mogą.

Żeby temu złemu zapobiedz skutecznie, trzeba przyjąć za zasadę, że matka nie powinna opuszczać domu. Należy powstrzymać chęć prędszego zbogacenia się, która matkę wypędza na zarobek; tembardziej opanować należy żądzę używania, strojenia się i życia nad stan, która pobudza matkę, że bez naglącej potrzeby opuszcza i zaniedbuje dzieci i zarobkuje poza domem. Niektóre z nich, żeby zyskać na czasie albo uniknąć kłopotów, nie prowadzą wcale domu, lecz stołują się z całą rodziną, po restauracjach i hotelach. To już ostatecznie rozbija rodzinę.

Żeby tym wymaganiom zaradzić, trzeba wrócić do większej skromności i prostoty życia i matkę zatrzymać za wszelką cenę w domu przy dzieciach. Nawet gdy dzieci chodzą do szkoły parafjalnej, matka nie może spuszczać się całkowicie na Siostry i księdza, lecz sama winna uczyć dzieci o Bogu i religji. Jeżeli tego zaniedba, w duszy dziecka powstanie luka, której ani szkoła ani kościół nie zapełni.

Spotykałem wiele wypadków, że dzieci najstaranniej wychowane w szkole, ale nie podtrzymywane w religijności przez rodziców, zdradzały zawsze jakiegoś pogańskiego ducha. Słowa rzucane im w szkole odbijały się od ich duszy, jak twardy groch od ściany i nie zapuszczały korzeni.

Trzecia przyczyna złego wychowania dzieci, zwłaszcza dziewcząt, jest dzisiejszy bezwstyd i wyuzdanie mody. Matki bezkrytycznie i bezmyślnie idą za jej nakazami i córeczki swoje odzierają niemiłosiernie ze wszystkiego wdzięku skromności i niewinności.

Maleństwa czują niestosowność takiego stroju i gdy ksiądz przechodzi ulicą, kurczą nożyny i obciągają sukienki same, instynktownie, bez żadnej uwagi z jego strony, ale gdy oko starszych nad niemi nie czuwa, występują wobec chłopców zaczepnie i same podnoszą jeszcze wyżej swoje krótkie gałganki.

A ile za tem idzie zgorszenia i zepsucia, jak ono się rozgałęzia i rozszerza wśród tych młodocianych i nieświadomych istot, to trzebaby płakać krwawemi łzami.

Znam te smutne historje dusz dziecięcych, bo im poświęcam nie mało czasu na misjach.

Wszyscy muszą poświęcić więcej pracy i wytężyć baczniejszą uwagę na dzieci — rodzice, Siostry, kapłani, bo zło się wdziera coraz głębiej. A szkoda, materjał jest doskonały, mogą z nich być święci. X. M. W.

Dobra Gospodyni.

Jak wytępić karakony (prusaki, karaluchy)? Wiele gospodyń, mimo czystości utrzymywanej w kuchni, biedzi się obecnością robactwa, które zagnieżdża się w brudnych kamienicach i nie chce się dać wytępić. Sypie się różne „zielone ziemie“ — trujące dla ludzi, ale współmieszkańcy kuchni nie wiele sobie z tego robią.

Jest jednak na nich środek i to bardzo prosty, a, jak sama wypróbowałam, zupełnie skuteczny; dowiedziałam się o nim z pisma francuskiego naukowego, a jest on następujący: bierze się do rondelka sporą ilość kwasu borowego (mniej więcej kopiatą łyżkę stołową) i kwas ten, który za niewiele groszy można dostać w każdej aptece lub drogerji, rozpuszcza się na ogniu w takiej ilości wody (n. p. szklankę), ażeby płyn był nasycony, to znaczy, żeby podczas gotowania kwas osadzał się na ściankach rondla w formie drobniutkiego kryształkowego nalotu, tak jak to bywa z gęstym syropem z cukru. — Kiedy się kwas dobrze zagotuje, zdejmuje się go z ognia i macza w gorącym tym płynie przygotowane już poprzednio kostki starej bułki. Wbite na widelec kawałki zanurza się dobrze w cieczy i rozkłada je w różnych miejscach kuchni. — Po paru dniach ilość karakonów zacznie maleć — a po tygodniu mało co się zostanie; wkrótce i te zginą i nie wrócą. Gdzie się one podziewają, niewiadomo, bo nigdzie ich nie widać, ale wyprowadzają się raz na zawsze.

Wiem o wypadku, gdzie kwasem borowym zdołano nie tylko z danej kuchni to przykre robactwo usunąć, ale wyniosły się one i z sąsiedniej kuchni, w której im nie zastawiano żadnych trutek. *L. N.*

Wychodzi pod Redakcją Dr. E. Estreicherowej.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie, Kaz. Wielkiego 95.